

Temat tygodnia

- 12 Edwin Bendyk, Bartosz Piłat
**Obywatelu, ruszaj
na wojnę ze smogiem!**

Polityka

- 16 Malwina Dziedzic
Krajobraz po proteście
- 19 Rozmowa z prof. **Romanem
Kuźniarem** o tym,
czy państwo PiS zaczyna
przypominać Włochy
Mussoliniego
- 22 Ziemowit Szczerek
**Między Molwanią
a San Sombrero**

Rozmowa POLITYKI

- 25 Prof. **Michał Kosiński**
o tym, jak nowoczesny
marketing zwodzi wyborców

Społeczeństwo

- 28 Aleksandra Puculek
**Biednym praca
się nie opłaca**
- 32 Juliusz Ćwieluch
**Nowe obyczaje
seksualne Polaków**
- 35 Rozmowa z prof. **Bassamem
Aouil**, Syryjczykiem
mieszkającym w Polsce,
o narastającym nacjonalizmie

Rynek

- 38 Rafał Woś
Lepiej pracować krócej
- 41 Joanna Solska
**Leszek Balcerowicz
– od sukcesu
do rozczarowania**
- 44 Adam Grzeszak
**Co u nas wytrpią
detektywi Pinkertona**

Świat

- 46 Andrzej Lubowski USA
**Scenariusze
prezydentury
Donalda Trumpa**
- 49 Artur Domosławski
**Ryszard Kapuściński
– niedoceniany
świadek stulecia**
- 52 Rozmowa z **Gyem
Verhofstadtem**
o tym, dlaczego Europejczycy
potrzebują więcej Europy,
tylko jeszcze o tym nie wiedzą
- 54 Łukasz Wójcik
**Jak biznesmeni
zastępują polityków**

12



Smog i mrok

16



Puczyk prezesa

74

„Sztuka kochania”,
czyli seksem w system

88



Renesans klaunów

Historia

- 56 Michał Siedziako
**Wybory 1957 r.
– przymrozek
po październikowej
odwilży**
- 59 Tomasz Targański
Exodus starowierców
- 62 Ryszard Marek Groński
Polskie szopki

Nauka

- 64 Paweł Walewski
Patomorfologia w zapaści
- 66 Mirosław Szreder
**Niedobra zmiana
w edukacji**
- 68 TECHNOECHO

Kultura

- 74 Rozmowa z **Marią Sadowską**,
reżyserką filmu
„Sztuka kochania.
Historia Michaliny Wisłockiej”,
nie tylko o seksie
- 80 Urszula Schwarzenberg-Czerny
**Po raz 24. rozdaliśmy
Paszporty POLITYKI**
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Małgorzata Rejmer
- 84 Janusz Wróblewski
**„La La Land”: fenomenalny
Ryan Gosling**
- 86 Sebastian Frąckiewicz
**„Totalnie nie nostalgia”
– odważna polska
powieść graficzna**

Ludzie i style

- 88 Aleksandra Żelazińska
Klauuny wyszły na ulice
- 92 Marcin Piątek
**Richard McLaren
– guru walki z dopingiem**

Na własne oczy

- 100 Joanna Leszczyńska,
fotografie Hanna Musiałówna
**Jak animatorzy z Lublina
czarują mieszkańców**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 94 Passent • 95 Stomma
- 96 Chutnik i Plebanek • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji • 99 Fusy, plusy
i minusy • 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

San Escobar a sprawa polska

Informacja ministra Waszczykowski o spotkaniu z przedstawicielami San Escobar wywołała histeryczną reakcję opozycji i oskarżenia ze strony mediów o to, że takiego kraju nie ma. W siedzibie PiS na Nowogrodzkiej zebrały się władze partii i państwa, aby zażegnać kryzys w tej sprawie.

Na wstępie premier Szydło ujawniła, że początkowo rząd był skłonny z istnienia San Escobar się wycofać, niestety po tym, gdy opozycja i część mediów rozpoczęły brutalną kampanię wyśmiewania szefa MSZ, stało się to niemożliwe.

– Tłumaczyłem im, że się przejęczyłem, ale nadal mnie wyśmiewali – oburzał się szef MSZ.

Jarosław Kaczyński ostrzegł, że opozycja dąży do konfrontacji, dlatego będzie wyśmiewać i podważać istnienie wszystkiego, co rząd proponuje. W tej sytuacji przyznanie, że San Escobar nie istnieje, byłoby oznaką słabości, na którą nie może sobie pozwolić.

– W demokracji mniejszość nie może decydować o tym, jakie państwa istnieją. Poza tym czasy, w których istniało tylko to, co istniało, minęły – powiedział.

W ocenie marszałków Sejmu i Senatu ludzie twierdzący, że państwa takiego jak San Escobar nie ma, to nieliczna grupa politycznych frustratów, niemogących się pogodzić z utratą

władzy. Szef „S” zapowiedział przykrycie ich czapkami oraz zorganizowanie w zakładach pracy masowych wieców poparcia dla istnienia San Escobar.

Prezydent obiecał zacieśnienie relacji Polski i San Escobar i zapewnił, że będzie prowadził bezkompromisową politykę dogadywania się z każdym państwem, bez względu na to, czy ono zdaniem mediów istnieje. Przyznał, że jest przeciwny dzieleniu państw na istniejące i nieistniejące.

Wyraził również przekonanie, że fakt nieistnienia San Escobar nie przeszkodzi Polsce w zbliżeniu z tym państwem, tak jak w zbliżeniu z Węgarami nie przeszkodził Polsce fakt, że one istnieją.

Wszyscy zebrani byli zgodni co do tego, że rozmowy przeprowadzone przez ministra Waszczykowski z politykami San Escobar pokazały wielką potrzebę istnienia państw takich jak San Escobar, z którymi Polska mogłaby utrzymywać przyjazne stosunki. Zwłaszcza w sytuacji, gdy stosunki Polski z państwami, które już istnieją, nie układają się najlepiej.

Na koniec Jarosław Kaczyński zapowiedział, że w celu poprawienia międzynarodowego wizerunku Polski gotów jest zacieśniać stosunki dyplomatyczne z kolejnymi krajami, które minister Waszczykowski w tym celu wymyśli.





JUAN DE PORRAS AGUIRRE

członek zarządu
Banku Zachodniego WBK S.A.

Zaczynam dzień z Polityką Insight

POLITYKA INSIGHT to platforma wiedzy dla liderów biznesu, decydentów politycznych i dyplomatów. Nasz poranny serwis analiz czytają osoby na kierowniczych stanowiskach w Polsce i za granicą. Polityka Insight świadczy również usługi analityczne na zamówienie sektora prywatnego, publicznego i organizacji międzynarodowych.



Zamów dostęp próbny

www.politykainsight.pl

Teraz Polityka Insight dostępna też w aplikacji mobilnej:



[Kup książkę](#)

**POLITYKA
INSIGHT**
PLATFORMA WIEDZY

Strasznie śmiesznie



Jerzy Baczyński

Już dawno nic tak nie rozbawiło Polaków jak drobne i w gruncie rzeczy niewinne przejęzyczenie min. Waszczykowskiego o karaibskim państwie „San Escobar”. Internetową zabawę w nieistniejące państwa (s. 22) szybko podjęły także duże światowe media, a Russia Today informacjami z San Escobar przerwała nawet transmisję poważnej debaty z Kongresu Stanów Zjednoczonych. Nigdy wcześniej minister Waszczykowski nie odniósł porównywalnego globalnego sukcesu. O ile w zagranicznych telewizjach i portalach polski minister znalazł się w dziale „michałków” domykających serwisy informacyjne (obok tradycyjnych wiadomości z życia pand), o tyle w Polsce memy z San Escobar, krążące i komentowane wśród milionów odbiorców, przerodziły się w wielki zbiorowy spektakl satyryczny, bezbłędnie wyłapujący istotne cechy obecnej władzy. Jakby odkrywca („Waszczo da Gama”) nagle odsłonił przed naszymi oczami bajkowy, „jamajski” wymiar polityki PiS.

Oto bowiem polskie służby zagraniczne skupiły się ostatnio na zabiegach o przyznanie Polsce miejsca „niestałego członka” Rady Bezpieczeństwa ONZ. To w tej sprawie dyplomaci i sam minister szukają poparcia wśród różnych państw i państweczek, nie wykluczając wysp St. Kitts and Nevis, czyli prototypu San Escobar. Jest to wielki wysiłek włożony w sprawę bez jakiegokolwiek realnego znaczenia (no, może poza propagandową ekstazą TVP). Akurat wtedy, gdy Unia Europejska, nasze najbliższe, naturalne środowisko życia, przechodzi kolejne kryzysy i transformacje, z najważniejszymi państwami Unii mamy stosunki napięte lub żadne, a w Brukseli i Strasburgu rząd Kaczyńskiego jest napiętnowany i ignorowany. Budżet państwa demonstracyjnie przyjęto bez udziału opozycji, na duś, prowizorycznie, co, jak ostrzegał Donald Tusk, może nam zaszkodzić w unijnych przetargach; Trybunał Konstytucyjny został dobity i ośmieszony. Jedyne świeży sukces polityczny – przyjazd wojsk amerykańskich – to ostatnia, uparta decyzja odchodzącego prezydenta Obamy, traktowanego przez obóz prawicy jako lewak, już na szczęście wyrugowany przez Super Trumpa. Polska polityka zagraniczna jest dziś – używając pisomowy – w ruinie, jest wrakiem, unoszonym bez kierunku i bez napędu, z załogą ogarniętą jakimiś geopolitycznymi, radosnymi i kolorowymi majakami o polskim Miedzymorzu. Do którego dołączyliśmy właśnie Morze Karaibskie.

Ale w memach sanescobarskich jest jeszcze sporo innych charakterystycznych skojarzeń. Oto owe wyspy jawią się jako reklama pisowskiego raju, gdzie nie trzeba będzie pracować, bo dobry rząd pod kierunkiem Don Jarcosa wypłaci „Los Polacos prima sort” po 500 pablos, za które będziemy mogli żyć bez troski na plażach Esperalu. Przy okazji celebrowania przyjaźni polsko-sanescobarskiej rządy obu krajów są przedstawiane jako typowe „bananowe junty”: jest miejscowy prawdziwy szef szefów (odpowiednik kolumbijskiego króla narkotyków Pablo Escobara), jest marionetkowy prezydent, szef rządowych bojówek Don Antonio i inni funkcjonariusze, zanurzeni w polsko-latynoskiej tandetnej religijnej symbolice, gdzie niemal wszystko jest „san lub santo”, a w stolicy o nazwie Santo Subito właśnie wyświetlają film o lotniczej katastrofie pt. „Santa muerte”. Oczywiście to tylko żarty, ale ujawniające mimochodem dwoistą, śmieszno-groźną naturę tej władzy.

Ktokolwiek mógł obejrzeć najbardziej eksponowany, ze względu na porę emisji (niedziela godz. 20.15), film TVP pt. „Puc” (współreżyserki „Smoleńska”) o zakończonym/zawieszonym kryzysie parlamentarnym, miał znakomitą ilustrację owej straszno-śmiesznej formuły. Otóż wszystkie wydarzenia 16 grudnia i potem, były doskonale przygotowane, co do minuty, przez nieudolną skądinąd i skłóconą opozycję, po to aby odebrać zwykłym Polakom 500 plus i obrotu ubeckie emerytury uczestników KOD. Wspólnikami puczystów, obok „lewackiej antyfy blokującej wyjścia z Sejmu” (taki umieszczono napis na ekranie), stała się też amerykańska spółka emisyjna, która „zablokowała sygnał TVP”, po to głównie – jak wynikało z komentarza – by na życzenie Moskwy dokonać siłowej zmiany władzy i nie dopuścić do rozmieszczenia wojsk USA w Polsce (komentarz facebookowy: czy TVP może podać adres zielaża na San Escobar, u którego się zoapatrują?).

Fakt, każdego dnia mamy przejawy tej „karaibskiej” ekspresji: jakże zabawne było obserwowanie wysiłków wszystkich kanałów TVP, aby nie informować o Wielkiej Orkiestrze Owsia (główną relacją dnia była gospodarska wizyta pierwszego sekretarza partii w Gorzowie i Poznaniu – pełen odlot). Albo rozkojarzona deklaracja ministra Szyski, że nie obniżymy (do poziomu europejskiego) norm alarmowych zanieczyszczenia powietrza, bo wtedy mielibyśmy alarm bez przerwy. Jak z kabaretu „Ucho prezesa” brzmią napuszone deklaracje ministra obrony o natychmiastowym zakupie bojowych śmigłowców (nie będzie) lub ich wspólnej produkcji z Ukrainą (że co?). A spektakularne wahania prezydenta przed zdyscyplinowanym podpisaniem ustawy gimnazjalnej lub budżetowej?

Profesor Roman Kuźniar mówi w wywiadzie (s. 19), że istnieją niesłychanie silnie historyczne podobieństwa między „państwem PiS w budowie” a wczesnym włoskim faszyzmem Mussoliniego – choć absolutnie trzeba odżegnywać się od skojarzeń z zupełnie innym faszyzmem niemieckim. Ale i on zdaje się nie wierzyć, że to na serio. Czy możliwe, aby ludzie, tym razem dobrowolnie, godzili się na powrót autorytaryzmu? I to w takim wydaniu?

Ta władza może być groźna, choć wciąż bywa także śmieszna. Jak junta z San Escobar.

Jan Koza



© JAN KOZA

Czy powstanie polski Jobbik?



© LUKASZ DEINAROWICZ/FORUM

Od początku rządów PiS powraca pytanie: czy w Polsce, obok wzorowanej na węgierskim Fideszu partii władzy, może powstać ugrupowanie nacjonalistyczne podobne do Jobbiku? PiS zawsze dość skutecznie dbał o to, by na prawo od niego nie rosła konkurencja. Badania wskazują jednak, że grupa Polaków o poglądach nacjonalistycznych jest całkiem liczna. Według CBOS (badanie z października 2016 r.) 7 proc. Polaków uważa się za nacjonalistów, a 17 proc. popiera działania takich organizacji jak ONR i Młodzież Wszechpolska. Jeszcze szersza grupa (między 30 a 40 proc. Polaków) podziela klasyczne poglądy endeckie, czyli niechęć do Żydów oraz przekonanie, że katolicyzm należy do istoty polskości. Co trzeci ba-

dany uważa, że Żydzi mają zbyt duży wpływ na sprawy naszego kraju (przeciwnego zdania jest 37 proc.), a 38 proc. – że prawdziwy Polak powinien być katolikiem (przeciwnych jest 52 proc.). Podobnie liczne grono jest zdania, że homoseksualizm nie jest rzeczą normalną i nie należy go tolerować (48 proc. jest przeciw).

Polacy w ogromnej większości uważają się za patriotów (88 proc.) i są dumni ze swojej przeszłości – trzy czwarte badanych uważa, że możemy się tak czuć, ponieważ w swojej historii postępowaliśmy bardziej szlachetnie niż inne narody (nie zgadza się z tym co piąty ankietowany). Poczucie dumy z bycia Polką lub Polakiem znacząco wzrosło w ciągu ostatnich sześciu lat (o 14 pkt proc.). Jednocześnie zdecydowana większość (90 proc.) nigdy nie wstydziła się swojej narodowości bądź bardzo rzadko odczuwała wstyd z tego powodu. Silne jest też poczucie dziejowej niesprawiedliwości – według 76 proc. naród polski był częściej krzywdzony niż inne (przeciwnego zdania jest 14 proc.). Niemal połowa (44 proc.) jest przy tym przekonana, że Polacy mają więcej wartościowych cech niż inne narody, a co dziesiąty – że nie powinni wiązać się z osobami innej narodowości.

Swoją patriotyzm Polacy postrzegają nie tylko na poziomie symbolicznym czy historycznym, ale też ekonomicznym. Trzy czwarte ma emocjonalny stosunek do polskiej ziemi i sprzeciwia się temu, by wykupywali ją obcokrajowcy. Tak samo liczna grupa badanych uważa, że powinniśmy kupować produkty wyprodukowane w Polsce, bo w ten sposób wspieramy rodzimy handel. Mniejsza, choć wciąż liczna grupa badanych (43 proc.) sprzeciwia się zatrudnianiu cudzoziemców, bo zabierają oni pracę Polakom, a co trzeci ankietowany w ogóle nie chce, by obcokrajowcy osiedlali się na stałe w Polsce. Partia nacjonalistyczna miałaby więc w Polsce potencjał. Na razie nie widać jednak polityka, który potrafiłby przyciągnąć elektorat o poglądach endeczych. A jeśli nawet taki się pojawi, będzie musiał stoczyć ciężką walkę z Jarosławem Kaczyńskim, który dotąd skutecznie bronił prawej strony sceny politycznej przed partiami jeszcze bardziej radykalnymi niż PiS.

JS (PI)

Studenci na ulicach

Młodzież szuka bezpartyjny protest polityczny

Od kilku tygodni studenci zwołują się na portalach społecznościowych na Ogólnopolski Protest Studentów i Studentek. Mają maszerować 25 stycznia m.in. we Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Toruniu, Opolu, Lublinie i w Brukseli. Zaczęło się od Marii Iwanickiej, studentki budownictwa z Wrocławia. – W połowie grudnia skończyłam semestr, miałam trochę wolnego czasu i włączyłam telewizor. Akurat pokazywali sceny z Sejmu: blokada mównicy, przegłosowanie budżetu, protesty przy Wiejskiej – opowiada. – Wtedy zdałam sobie sprawę, że to czas, aby młodzi zabrali głos. Choć nigdy wcześniej nie była na żadnym protestie, postanowiła zebrać studentów na Facebooku i razem z koleżanką z uczelni Natalią Kwaśnicką ogłosili protest. Potem z grupą kilkunastu znajomych z prawa, ekonomii i z kierunków humanistycznych dogadali się co do tego, w jakim kraju chcą żyć.

Spisali 14 punktów mówiących m.in., że chcą żyć w państwie, w którym przestrzegane są przepisy konstytucji i prawo w ogóle; w którym instytuty badawcze i instytucje kultury są niezależne, a programy nauczania

szkół i uczelni oparte na wiedzy naukowej; państwie świeckim, które realnie chroni ofiary przemocy, gdzie istnieją wolne media, a te publiczne nie są jedynie tubą propagandową partii rządzącej; w którym stanowiska obsadzone są na podstawie umiejętności, kompetencji i doświadczenia, a nie przynależności partyjnej; którego rząd nie izoluje Polski od Unii Europejskiej i nie ośmiesza kraju na arenie międzynarodowej.

Protestują studenci – wyborcy PiS, PO, Nowoczesnej, Partii Razem czy PSL. – A także ci, którzy na wyborach nie byli, i ci, którzy stoją teraz przed możliwością wyjazdu za granicę, ale wolą zainwestować w swój kraj – dodaje Iwanicka. – My nie chcemy obalać rządu, tylko głośno mówimy, w jakim kraju chcemy żyć – mówi 25-letni Łukasz Stawecki, student Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki, który zbiera studentów na protest w Toruniu.

Studenci mówią, że to wydarzenie NO LOGO. Nie chcą wsparcia od samorządów, partii czy organizacji o politycznych afiliacjach. Nagłośnienie pożyczają z klubów studenckich, choć mieli ofertę od KOD, ale nie chcieli. Chodzą po prośbie po drukarniach. Kilka zgodziło się wydrukować ulotki i transparenty za darmo. Studenci budownictwa załatwiają z budów kamizelki odblaskowe. Chcą, by było ich widać, bo będą

protestować od późnego popołudnia. Wszystkich studentów mają połączyć postulat i symbol protestu: okulary z pękniętym jednym szkłem. – Niech każdy przyniesie okulary, symbol nauki i na jednym szkłe wymaluje markerem pęknięcie, symbol naszego rozczarowania i niepokoju – mówi Maria Iwanicka.

Ideę marszu zaatakowała Krystyna Pawłowicz (PiS) w swoim stylu: „część wykładów dla obrony swoich niezłustrowanych interesów, zainspirowała do antyrządowych protestów niezorientowanych politycznie w sprawach swego kraju studentów kłamstwami i szczuciem na legalne, demokratycznie wybrane polskie władze”. 21-letnia Barbara Wachnik, studentka Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki na Uniwersytecie w Toruniu, współorganizatorka protestu, odpowiada: – W 1978 r. mój dziadek stworzył podziemną Bibliotekę Społeczną, z księgozbiorem niezależnych publikacji, wykorzystywaną do działań konspiracyjnych. Jej rodzice działali w NZS. Od dziecka słuchała, jak to było w Polsce, kiedy nie było wolności. – I dlatego nie zgadzam się dziś na łamanie zasad demokracji i odbieranie nam wolności. Jako osoba wierząca, praktykująca katolicyzm nie zgadzam się też na powoływanie się na Boga w celach politycznych – mówi Wachnik.

ANNA DĄBROWSKA



Mojżesz lewicy i ustawka PiS

PiS zafundował nam dość prostą ustawę, dlatego zalecam naszym Reytanom zdjęcie nogi z pedału patosu, bo po 20 lutego mogą się znaleźć w niekomfortowej sytuacji. Zresztą, w minionym tygodniu doszło do ważniejszego wydarzenia.

Okryzysie sejmowym, który właśnie przygasał, ale prędzej czy później musi odżyć, jako były marszałek Sejmu wypowiadałem się tyle razy, że kolejną elukubrację czytelnikom POLITYKI daruję. Ale w tym samym dniu, w którym ognisko sejmowe z lekka przysypano piaskiem, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wystąpił do skolonizowanego przez PiS Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o zbadanie legalności wyboru trzech sędziów TK w 2010 r. Jak długie i szerokie „jedyńki” gazet i programów informacyjno-publicystycznych rozległ się trzask dartych w geście Reytana koszul: PiS ruguje niepisowskich sędziów, kolejny zamach na państwo prawa, obóz władzy bierze wszystko. Przysłuchiwałem się temu trzaskowi z pewnym zadziwieniem. PiS rzeczywiście chce wziąć wszystko i z zapalem demontuje państwo prawa, ale w tym przypadku wydało mi się oczywiste, że nie chodzi o to, ale o dość prostą ustawę, i to nie na użytek polityki krajowej, ale zewnętrznej, a zwłaszcza europejskiej.

Przesłanki mojego rozumowania są następujące. Po pierwsze, uzasadnienie wniosku jest groteskowe, sprzeczne z faktami i – co ważniejsze politycznie – z tym, co PiS z ministrem Ziobrą, jeszcze niedawno temu głosił. Nie minęło czasu mało wiele, a od akcji ministra Ziobry zdystansował się, przypominając te okoliczności, sam prezes Kaczyński. Nie wynika z tego oczywiście, że akcja pana ministra nie była z panem prezesem uzgodniona. Ponieważ dotyczy nie szczegółów polityki karnej, ale walki o władzę, więc uzgodniona być musiała, a może nawet w trybie rozkazodawczym została zlecona. Uzasadnienie wniosku jest jednak kompromitujące intelektualnie, więc zapewne pan prezes Kaczyński uznał, że nie musi na widoku rozsmarowywać sobie masła na głowie, bo jest Prezesem, natomiast pan minister Ziobro masło rozsmarować musi, bo Prezesem nie jest.

Po drugie, gdzieś około 20 lutego br. upływa dwumiesięczny termin odpowiedzi na dodatkowe rekomendacje Komisji Europejskiej dla Polski w sprawie Trybunału Konstytucyjnego wystosowane 21 grudnia ubiegłego roku. Do tych rekomendacji obóz władzy dostosować się w najmniejszym nawet stopniu nie może, bo oznaczałoby to wywieszenie białej flagi, ale jeśli chce udawać, że z KE nie gra w stylu: „nie mamy pańskiego płaszcza, i co nam pan zrobi”, to jakiś ochłap Komisji rzucić musi.

I dochodzimy do konkluzji wywiedzionej z dwóch powyższych przesłanek: ochłapem ma być szybko wydany wyrok lub postanowienie TK oddalające wniosek ministra Ziobry jako oczywiście bezzasadny, być może nawet na etapie wstępnego rozpatrywania wniosku lub na rozprawie niejawnej. No to później premier Szydło i minister Waszczykowski będą machać w Brukseli tym orzeczeniem z przesłaniem: twierdzenie, że zamachnęliśmy się na niezawisłość Trybunału, a tu patrzcie – oto hardy i niezawisły Trybunał pisowski rząd brutalnie przechołgał.

Zalecam zatem naszym Reytanom zdjęcie nogi z pedału patosu, który nieimiennie wcisnęli do dechy, bo po 20 lutego mogą się znaleźć w niekomfortowej sytuacji: też będą wystawiać niezawisłość prezes Przyłębskiej?

To są jednak bieżące podchody i fortele polityczne, a ja mam poczucie, że w minionym tygodniu doszło do wydarzenia, które poruszy głębię polskiej polityki. Tym wydarzeniem było podpisanie przez prezydenta Dudę pisowskich ustaw oświatowych, co przesądza o tym, że dojdzie do zainicjowanej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, z prezesem Sławomirem Broniarzem na czele, akcji zbierania podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie funkcjonowania polskiej szkoły. Poparcie dla inicjatywy ZNP zadeklarowała lewica we wszystkich swoich odmianach, formach i postaciach, OPZZ oraz cała antypisowska opozycja parlamentarna. Co to oznacza w kategoriach politycznych?

Parę bardzo ważnych rzeczy. Zapewne PiS w Sejmie odrzuci wniosek o referendum, ale nie mam wątpliwości, że sama akcja zbierania podpisów zakończy się wielkim sukcesem: co najmniej grubo ponad milion, jeśli tylko ZNP sformułuje pytania zrzeczenie, by skupić jak najszerze poparcie – co oznacza nie opowiadanie się za lub przeciw gimnazjom, ale za uchyleniem pisowskich ustaw lub przeciw temu. W takim przypadku znajdą się obywatele, tacy chociażby jak ja, którzy życzyliby sobie likwidacji gimnazjów, ale sposób, w jaki PiS chce to przeprowadzić, uważają za skrajnie szkodliwy i dlatego uchylenie ustaw oświatowych poprą.

Po drugie w przeszłości co najmniej dwukrotnie masowe akcje zbierania podpisów zmieniły scenę polityczną, gdy mobilizowały i integrowały te środowiska, które nie miały skutecznej reprezentacji politycznej. We wczesnych latach 90. petycja o referendum w sprawie aborcji przyczyniła się do zaistnienia na scenie parlamentarnej Unii Pracy – partii pomyślanej jako lewica nieobciążona dziedzictwem komunistycznym. W 1995 r. około 1,5 mln podpisów zebranych przez Solidarność zapewniło związkowi i jego przewodniczącemu Marianowi Krzaklewskiemu pozycję umożliwiającą zjednoczenie prawicy na swoich własnych warunkach. Efektem była Akcja Wyborcza Solidarność.

Oczywiście akcja ZNP nie zjednoczy całej opozycji, bo PO, Nowoczesna i PSL jako podmioty partyjne mają się nie najgorzej. Inaczej rzecz się ma jednak z lewicą. Stopień nieufności i wzajemnej niechęci między partiami i partyjkami lewicowymi jest dziś mniej więcej taki, jak w 1995 r. między partiami i partyjkami prawicowymi. Po wyborach 1993 r. prawicy w Sejmie nie było. Obecnie nie ma w nim lewicy, mimo że około 15 proc. wyborców deklaruje ideową identyfikację lewicową. Jeśli rozumować przez analogię (nie jest to rozumowanie szczególnie mocne z punktu widzenia logiki formalnej, ale uprawnione przez doświadczenie historyczne), to ZNP i przewodniczący Broniarz, który będzie twarzą akcji referendalnej, mogą odegrać wobec lewicowego politycznego rojowiska taką rolę, jaką w przeszłości wobec prawicy odegrały Solidarność i Marian Krzaklewski. A ZNP ma historyczną genealogię, inklinacje i afiliacje jednoznacznie lewicowe.

Oczywiście tak się stanie, jeśli pan Sławomir Broniarz zechce odegrać rolę Mojżesza lewicy. A czy zechce, to dowiemy się pod koniec tego roku, nie wcześniej. Wtedy będę mógł do tematu wrócić.

Yoda z Leeds

**„Kochani,
Zygmunt odszedł do płynnej
wieczności dziś 9 stycznia 2017 roku.
Pożegnałam się z nim w domu w Leeds
wśród najbliższej rodziny,**

Ola”

W poniedziałek 9 stycznia o 16.30 taki mail wysłany przez prof. Aleksandrę Kanię, od niedawna żonę Zygmunta Baumana, zburzył popołudniowy spokój kilkunastu osób w Polsce. W tym mój. A potem zrobił to samo setkom tysięcy ludzi niemal w całym świecie. Od Ameryki, gdzie „New York Times” pisał o śmierci „jednego z najbardziej uznanych i twórczych europejskich socjologów”, przez Australię, gdzie prof. Irfan Ahmad z Katolickiego Uniwersytetu w Melbourne pisał, że „nauka straciła jednego z najbardziej błyskotliwych i wpływowych autorów naszego czasu”, po Indie, gdzie dziennik „The Hindu” pisał o śmierci „jednego z najbardziej wpływowych i twórczych Europejczyków”.

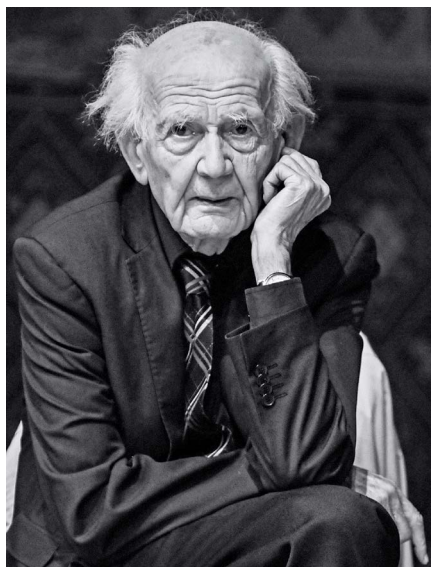
Od drugiej wojny światowej nie było – może poza Grotowskim i Lemem – polskiego intelektualisty, który cieszył się podobnym jak Bauman globalnym zainteresowaniem. I to zarówno w kręgach akademickich, jak i w kulturze masowej. Polski mędrzec z Leeds stał się pod koniec życia jedną z intelektualnych ikon późnej nowoczesności. Książki, które po przejściu na uniwersytecką emeryturę wyrzucał z siebie jak karabin maszynowy, były zaczątkami debat od Brazylii po Afrykę Południową. Al Jazeera, która, przypominając swoją ostatnią półgodzinną rozmowę z Baumanem, mówiła o śmierci „jednego z najważniejszych filozofów epoki”, zrobiła nawet rysunkowy serial złożony z animacji ilustrujących wypowiedzi Baumana na takie tematy, jak szczęście czy zderzenie migrantów z Zachodem.

Co takiego miał w sobie Zygmunt Bauman, że im gorzej nasz świat czuł się z sobą, im bardziej stawaliśmy się spięci, niepewni swego miejsca w teraźniejszości i przestraszeni przyszłością, tym większej globalnej wartości nabierała intelektualna waluta, którą emitował?

Twórcza przenikliwość połączona z intelektualną odwagą była jego wielką siłą. Bez nich nie ogłosiłby swojej fundamentalnej tezy, która przyniosła mu światowy rozgłos, falę krytyki i trwałe miejsce w globalnej debacie („Modernity and The Holocaust”, Cornell University Press, 1989; wyd. pol.: „Nowoczesność i Zagłada”, Fundacja Kulturalna Masada, 1992). Mówi ona, że największe zbrodnie XX w. – nazizm, stalinizm, mordowanie

narodów, a zwłaszcza Holocaust i hitlerowskie obozy zagłady – nie były aberracją zachodniej cywilizacji, lecz naturalną konsekwencją pysznego oświeceniowego rozumu wierzącego, iż umie zbudować dobry świat. Bauman stwierdził to z głębi doświadczenia. Jako młody komunista, tuż po wojnie, też w możliwość takiego dobrego świata wierzył, dopóki nie zrozumiał, że świat może być lepszy tylko trochę, a kto liczy na więcej, ten ryzykuje ściągnięcie wielkiego nieszczęścia.

Drugą kluczową Baumanowską cechą była konsekwencja. Fascynowała go ponowoczesność jako reakcja



© BARTŁOMIEJ KUDOWICZ/FORUM

na ryzyko nowoczesności, ale gdy doszedł do wniosku, że nowa kultura ma ziarna nowych nieszczęść, ogłosił to bez wahania („Postmodernity and its discontents”, New York University Press, 1997; wyd. pol. „Ponowoczesność jako źródło cierpień”, Wydawnictwo Sic!, 2000). Zaczął wtedy rozwijać swoją autorską koncepcję płynnej nowoczesności, której kluczowymi faktami są zmienność, niepewność, niedookreśloność, czyli brak twardego, racjonalistycznego, „inżynierskiego”, umasowiającego, porządkującego i uspokajającego ludzi jądra klasycznej nowoczesności. Przez kilkanaście lat badał wpływ „płynności” na różne sfery życia od kultury, lęku, samotności i odrzucenia „zbędnych” po miłość.

Kluczem do wielkości Baumana był jednak raczej w emocji niż w encyklopedycznej treści. Bo wśród wybitnych krytyków społecznych późnej nowoczesności i – jak mówił – interregnum, które nastąpiło po 2008 r., najmocniej wyróżniała go empatyczna, intymna relacja ze światem, społeczeństwami i ludźmi. Objaśniał, ale nie potępiał. Przestrzegał, ale nie sądził. Nawet nie jestem pewien, czy oceniał.

Im płynność bardziej dawała się ludziom we znaki, tym bardziej tonął pod zaproszeniami z najodleglejszych miejsc, bo oferując swą – zakorzenioną w doświadczeniu oraz w ciągłe uzupełnianej erudycji – mądrość, dawał odczuć, że nas wszystkich(!) lubi i szanuje, a także, iż lubi ten rozpędzony, fascynujący, bolesny ludzki świat, któremu trzeba pomagać rozumieniem, żeby stawał się w miarę możliwości lepszy i by przetrwał. „Dobre społeczeństwo – powtarzał – to takie, które uważa, że nie jest dość dobre”.

Wielką zwycięską próbą jego konceptu i podejścia do świata był kryzys migracyjny. Wrogie przyjęcie uchodźców przez część zachodnich społeczeństw opisał empatycznie jako zderzenie doświadczenia dwóch grup – przybyszów i miejscowych prekariuszy – wyzutyh ze swego miejsca w świecie i pozbawionych elementarnej egzystencjalnej pewności. Źródło nienawiści widział w niepewności. Odpowiedź widział w solidarnym zbliżeniu uświadamiającym wspólnotę ludzkiego losu i doświadczenia. Sam to praktykował. Kiedy w 2013 r. wrocławska policja zatrzymała 22 osoby, które przed debatą o „brunatnej Polsce” z udziałem Baumana protestowały, zarzucając mu udział w stalinowskich zbrodniach, jako jedyny na podium przyłączył się do mojego pytania, dlaczego wybrano zatrzymanie, a nie dyskusję? Ale nie chciał już do Polski przyjeżdżać. I oficjalna Polska za nim nie tęskniła. Jedynym odznaczeniem, jakie III RP mu dała, był order Gloria Artis przyznany przez min. Bogdana Zdrojewskiego.

Po dziewięćdziesiątce fizycznie podupadł, ale intelektualnie wciąż kipiał. Krótko przed świętami pisał swoją specyficzną skądinąd Mistrza Yody: „Stan mego ciała, kochany Panie Jacku, nie zachwycą, a i zachwycić będzie najpewniej z dnia na dzień coraz mniej – czegoż innego po takim przestarzałym gracie można by się spodziewać?! Rozjeżdżania po świecie musiałem zaprzestać, nogi już mnie nie niosą. Wraz z Aleksandrą tkwimy w domu (...). Duchowi wszakże nasz zwariowany świat spocząć nie pozwala, więc się nadal, z efektami wołającego na puszczy, szamoce. O ile go znam, chętnie by się na jeszcze jedną porcję ostróg od Pana Żakowskiego, (...) w do myślenia podjudzaniu, zgodził. Ale że na tyle jeszcze długo, by na »sporą rozmowę« starczyło, cielsko sędziwe duchowi pozwalać będzie na swawole, obiecywać nie mogę!”.

I nie pozwoliło.

JACEK ŻAKOWSKI



© MICHAEL MUNDY/AP

Trump w Białym Domu

Nowy lokator będzie musiał zachować stare wnętrza.

Podczas gdy prezydent elekt Donald Trump będzie 20 stycznia wygłaszał swoją mowę inauguracyjną, w Białym Domu prawie 100 pracowników będzie miało równo 6 godzin, aby wyprowadzić ustępującego prezydenta Baracka Obamę wraz z rodziną, a wprowadzić państwa Trumpów. Trzeba będzie też odświeżyć 130 pokoi i 32 łazienki oraz przygotować pierwsze przekąski dla prezydenta i jego bliskich. Nowy lokator Białego Domu będzie mógł zgłosić zmiany, jakich chciałby dokonać na dwóch prywatnych piętrach siedziby, pierwszym i drugim. Na przemeblowanie przestrzeni publicznej, która mieści się na parterze, albo zmiany w zabytkowych apartamentach gościnnych, jak np. w sypialni Lincoln, musi uzyskać oficjalną zgodę. Za czasów Billa Clintona w Białym Domu zamontowano wannę z hydromasażem, Nixonowi zorganizowano kręgielnię, a Jimmy Carter poprosił o zamontowanie paneli słonecznych, które Ronald Reagan kazał usunąć, a Barack Obama przywrócić.

Donald Trump niczego jednak chyba nie będzie przesadnie przerabiał. Niedawno ogłosił nawet, że do Białego Domu przyjeżdża, żeby pracować, a nie zajmować się urządzaniem wnętrz, co biorąc pod uwagę jego kapiący złotem i marmurami nowojorski apartament w Trump Tower, wszyscy przyjęli z ulgą. Chociaż być może Trump skorzysta z możliwości wybrania portretów swoich poprzedników, dobrania mebli i obrazów oraz zaprojektowania własnego dywanu z pieczęcią prezydencką w Gabinetie Ovalnym. Pomóc może mu w tym córka Ivanka, która wraz z mężem i trójką dzieci najprawdopodobniej zamieszka w Białym Domu. A jeśli nawet nie w samej rezydencji, to na tyle blisko, żeby pełnić nieoficjalne obowiązki Pierwszej Damy, bo żona nowego prezydenta, wraz z ich 10-letnim synem Barronem, do końca roku szkolnego zostaje w Nowym Jorku.

O prezydenturze Trumpa — s. 46.

Wróg nie śpi, więc Szwedzi czuwają

Szwedzka armia uruchomiła specjalną gorącą linię do kontaktów z obywatelami. Na razie działa w Skanii, na południu kraju, ale wkrótce ma objąć całe terytorium. To odpowiedź na wzmożone społeczne zaniepokojenie rosnącą obecnością wojskowej Rosji w regionie, temat często ostatnio podejmowany przez media. Raport służby wywiadowczej Säpo z marca ub.r. wskazuje jednoznacznie na zintensyfikowanie działań szpiegowskich Moskwy. Teraz zaniepokojeni obywatele mogą bezpośrednio informować o wszelkich

podejrzanych obiektach, na przykład takich wynurzających się z morza, które mogłyby się okazać rosyjskimi łodziami podwodnymi. Fotografie zrobione komórką mile widziane. Ale chodzi też o wszelkie podejrzane osoby, które kręcą się w pasie nadmorskim, a także o podejrzane samochody. Jan Bohman, który odpowiada w armii za kontakty społeczne, jest zdania, że nadesłane dotychczas przez obywateli informacje były „zadziwiająco dobrej jakości”, stąd pomysł, żeby o uważną obserwację okolicy poprosić wszystkich Szwedów.

Prezydent porzucił?

Parlament Wenezueli nie uznaje prezydenta, a prezydent parlamentu.

Kontrolowane przez opozycję Zgromadzenie Narodowe ogłosiło w Wenezueli, że prezydent **Nicolas Maduro** „porzucił swój urząd”. Przedwodniczący parlamentu argumentował, że dopuszczając do tego, iż kryzys ekonomiczny wymknął się spod kontroli, prezydent w istocie przestał wypełniać swoje obowiązki. Z kolei Trybunał Konstytucyjny, wspierający prezydenta, szybko uznał, że postanowienie parlamentu jest niekonstytucyjne. Maduro nie mógł jed-



© EAST NEWS

Prezydent Wenezueli przemawia do kamer telewizyjnych w siedzibie Sądu Najwyższego.

nak wygłosić (zapisanego w konstytucji) dorocznego orędzia o stanie państwa przed Zgromadzeniem, które przestało go uznawać za głowę państwa, więc uczynił to do kamer telewizyjnych w siedzibie Sądu Najwyższego. To akurat Trybunał uznał za zgodne z ustawą najwyższą. W swoim wystąpieniu prezydent po raz kolejny wytłumaczył, że winę za kryzys ponoszą topniejące ceny ropy naftowej oraz elity biznesu, które do spółki z imperialistami z USA sabotują antykryzysowe poczynania rządu. Była i wisienka. Prezydent Maduro wstrzymał decyzję o wycofaniu z obiegu najpopularniejszego banknotu o nominale stu boliwarów, już dwukrotnie przekładaną, co za każdym razem wywoływało panikę rynkową. Operacja wymiany waluty ma ostatecznie ruszyć 20 lutego.



Wojna maltańska

Ukryty spór z papieżem albo niezrozumienie intencji Watykanu

Dwa minipaństwa, Watykan i świecki Zakon Maltański, znalazły się w sporze. Powodem konfliktu jest wydalenie z zakonu jego wielkiego kanclerza Albrechta von Boeselagera, odpowiedzialnego za dzieła dobroczynne. Wielki mistrz Matthew Festing usunął kanclerza pod zarzutem, że nie reagował na doniesienia, iż pod szyldem zakonu rozprowadzano od lat prezerwatywy w ramach walki z AIDS. Kościół, owszem, popiera walkę z ubóstwem, ale nie akceptuje sztucznej antykoncepcji. Dymisjonując kanclerza, wielki mistrz dał mu do zrozumienia, że czyni to na prośbę papieża. Ale kanclerz odrzucił zarzuty. Stwierdził, że dystrybucję kondomów prowadzono bez jego zgody, a gdy się o niej dowiedział, natychmiast zareagował. Przy rozmowie był kard. Raymond Burke, przyjaciel zakonu, a zarazem jeden z czołowych krytyków linii Franciszka. Wielki kanclerz (niemiecki arystokrata, syn uczestnika zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r.) otrzymał

zaskakujące wsparcie. Watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin napisał do Festinga, że papieżowi nie chodziło o dymisję, tylko o dyskusję, jak rozwiązać problem. Wkrótce potem zapowiedział, że Watykan otwiera śledztwo w tej sprawie.

Wiadomość zszokowała maltańczyków. Istniejący prawie tysiąc lat zakon jest „miękką potęgą”, mającą status podmiotu prawa międzynarodowego (jak Watykan) i przedstawicieli dyplomatycznych w ponad stu krajach. Ponad 100 tys. członków, wolontariuszy i pracowników medycznych działa charytatywnie na całym świecie. Maltańczycy strzegą zazdrośnie swej suwerenności, a śledztwo watykańskie uważają za niedopuszczalną ingerencję w wewnętrzne sprawy swego minipaństwa. Watykańscy spekulują, że w istocie chodzi o kolejną wojnę zastępczą między Franciszkiem a kościelnymi konserwatystami albo o seryjne nieporozumienie.

Kwadratura Cypru

Wczwartek gwałtownie zakończyły się w Genewie rozmowy o zjednoczeniu Cypru. Oficjalnie strony nie doszły do porozumienia w sprawie korekty granicy między Północą i Południem, które docelowo miałyby stworzyć państwo federalne. Nieoficjalnie – Ankara zerwała negocjacje po tym, jak szef greckiego MSZ zażądał wycofania z wyspy wszystkich tureckich żołnierzy (ok. 30 tys.).

Po trzech dniach udanych negocjacji między Republiką Cypru (południe wyspy) a Turecką Republiką Cypru Północnego, w czwartek, doszło do spotkania w formacie 2+3, czyli stron sporu i tzw. gwarantów suwerenności wyspy, czyli Grecji, Turcji i Wielkiej Brytanii. Wydawało się, że kluczem będzie zgoda Północy na przesunięcie granicy na korzyść Południa. Finalny kształt zjednoczenia muszą jednak zaakceptować państwa gwaranci, a od początku było wiadomo, że Ankara nie zgodzi się na wycofanie wszystkich żołnierzy, więc temat w ogóle nie był podnoszony. Żądanie greckiego MSZ było zaskoczeniem nawet dla premiera Aleksisa Ciprasa, który zapowiedział, że sam weźmie udział w następnej turze rozmów – prawdopodobnie od 23 stycznia.

Negocjacje przyspieszyły, odkąd po obu stronach wyspy rządzą zwolennicy zjednoczenia. Kluczowe wydaje się tu stanowisko Ankary, która finansuje i broni tureckich Cypryjczyków. Ankarze zależy na zjednoczeniu, bo to odblokowałoby możliwość eksploatacji podziemnych złóż gazu ziemnego na południe od wyspy. Z kolei kluczową motywacją greckich Cypryjczyków jest strach przed tym, że po kolejnym fiasku negocjacji Ankara zaanektuje północ wyspy i w ten sposób podzieli ją na zawsze. Zapowiedziany udział w rozmowach greckiego premiera obie strony przyjęły z wielkim optymizmem.

Wyjścia i wejścia

Bawaria nie odłączy się od Niemiec, choć niektórzy by chcieli.

Oktoberfest, kwaszona kapusta oraz kapelusz z piórkiem zakładany do krótkich skórzanych spodenek – to wszystko pozostanie jednak niemieckie. Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe orzekł bowiem, że Bawaria (skąd pochodzą wszystkie wymienione rzeczy, stereotypowo kojarzone z całym krajem) nie ma prawa przeprowadzić referendum niepodległościowego. W zeszłym roku, na fali Brexitu, taki wniosek złożyła lokalna Partia Bawarska, na której facebookowym profilu wyrok Trybunału został skwitowany oświadczeniem, że „o losie swojej ojczyzny zadecydują Bawarczycy, a nie sąd”. Ci niekoniecznie są jednak skorzy do rozvodu – jeszcze w latach 50. secesjonistyczne ugrupowanie cieszyło się w landzie



kilkunastoprocentowym poparciem, ale w XXI w. ani razu nie udało mu się zdobyć więcej niż 2 proc. głosów.

Kiedy w Niemczech zapadał wyrok Trybunału, własne referendum zapowiedziała tymczasem Islandia. Nowo sformowana prawicowa koalicja rządu obiecała obywatelom, że sami zadecydują, czy chcą dokończenia procesu integracji z Unią Europejską (rozpoczętego jeszcze w 2009 r., ale wstrzymanego przed dwoma laty). Ale i te partie najwyraźniej odczytują nastroje społeczne równie opacznie co ich bawarscy koledzy: według sondaży aż 53 proc. mieszkańców wyspy jest przeciw dołączeniu do Wspólnoty.

Smog i mrok

Koszmarnie zanieczyszczone powietrze stawia Polskę w szeregu najbardziej zatrutych państw świata, a w Europie wręcz na pierwszym. Jeśli znów nic z tym nie zrobimy, to się podusimy.

EDWIN BENDYK, BARTOSZ PIŁAT

Trzeba było alarmistycznych wyników skażenia powietrza w Warszawie (w pierwszym tygodniu 2017 r.), by problem smogu na dobre znalazł się w głównym strumieniu informacyjnym. I bardzo dobrze, bo o poważne traktowanie tematu niektórzy w Polsce upominają się od lat.

Źródeł smogu (jak wszyscy używamy angielskiego neologizmu łączącego dym z mgłą) nad polskimi miastami jest wiele, ale największe są dwa: kotły węglowe, którymi ogrzewamy domy, oraz pojazdy, które setkami tysięcy przevalają się przez największe miasta Polski. Polakom wciąż trudno zrozumieć, że nie muszą mieć prawa do wjeżdżania w każde miejsce prywatnym samochodem oraz że to, co wrzucają do pieców grzewczych, ma jednak znaczenie. Węgiel marnej jakości, miał, a nawet śmieci (w tym koszmarnie toksyczne sztuczne tworzywa, plastikowe butelki) po spaleniu trafiają w powietrze, a stąd do płuc nas wszystkich. Europejska Agencja Środowiska podaje, że w Polsce na skutek wysokiego stężenia cząstek pyłu o rozmiarach 2,5 mikrometra (PM 2,5) przedwcześnie umiera blisko 50 tys. osób rocznie!

Każde miasto ma swoją specyfikę. Jeśli w Krakowie blisko połowa zanieczyszczeń pochodzi z kominów domów, a niepełna jedna trzecia z pojazdów, to w Warszawie zanieczyszczenia w 60 proc. składają się z emisji komunikacyjnej, zaś w kilkunastu procentach z tego, co wychodzi z kominów kotłów węglowych. To statystycznie, bo w okresie największych mrozów, jak pokazały pierwsze dni nowego roku, i Warszawa cierpi od dymu węglowego, także nawiewanego z podwarszawskich gmin.

Na dodatek średnia wieku auta w Polsce to 16 lat (wg danych Samaru), jeśli odliczyć unieruchomione, lecz niewyrejestrowane najstarsze pojazdy, to przeciętny samochód na polskich drogach liczy 12–13 lat. Niestety, 2016 r. był rekordowy zarówno pod względem liczby, jak i wieku sprowadzonych z zagranicy samochodów – przybyło ich ponad milion, blisko 600 tys. miało ponad 10 lat! Trudno ocenić, w jakim stopniu zagraniczni właściciele złomu na czterech kółkach, wypychając go Polakom, są beneficjentami polskiego rządowego programu 500+. Wiadomo natomiast, że nie istnieje praktycznie kontrola techniczna jakości emisji, a właściciele starszych pojazdów z silnikami Diesla lubią dla zwiększenia mocy napędu wycinać filtry cząstek stałych (koszt wymiany waha się od 500 do 4 tys. zł) pozbawiające spaliny groźnych sadz.

Chłodno o grzaniu

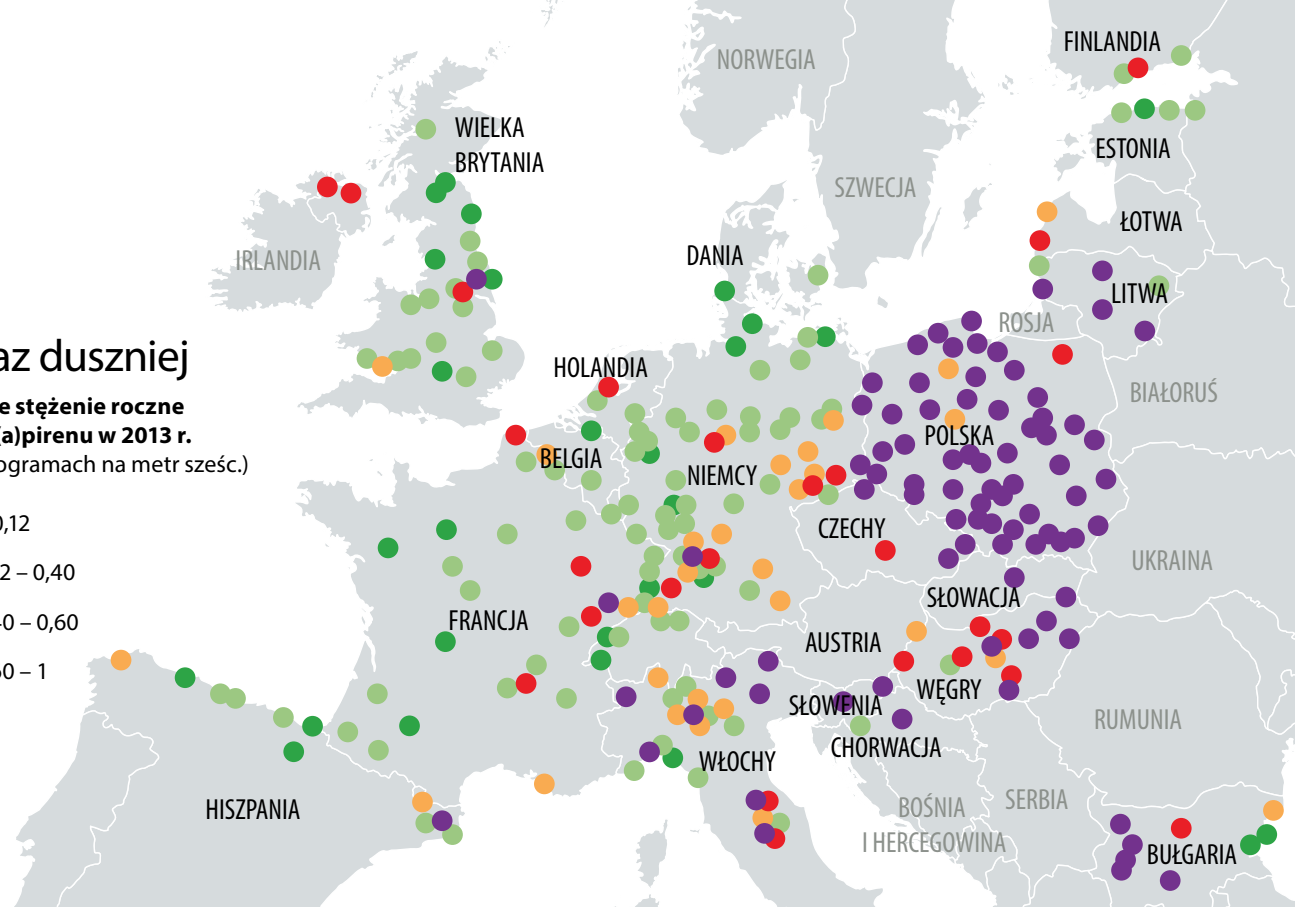
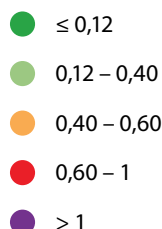
To politycy ponoszą winę za obecność nad polskimi miastami pochodzących z kominów kotłów węglowych gigantycznych ilości pyłów zawierających rakotwórcze substancje. Od dwóch dekad nikt w Polsce nie zadbał, by urządzenia służące do ogrzewania domów były jak najwyższej jakości – gorzej, w 2004 r., wstępując do UE, zlikwidowaliśmy stare normy dla paliw węglowych, a nowych, które obiecaliśmy Unii, wciąż nie ma. Nikt też nie pilnował, by polskie domy jednorodzinne zużywały jak najmniej ciepła, a w związku z tym jak najmniej paliwa. W efekcie mamy dziś w Polsce ok. 5 mln domów jednorodzinnych (za Instytutem Ekonomii Środowiska z Krakowa), wśród których 3,5 mln jest słabo albo w ogóle niezaizolowana. Od początku XXI w. powstało w Polsce blisko milion nowych domów. Tylko od inwestora zależało, jak dociepli swój budynek, a to z kolei było uzależnione od poziomu jego zamożności.

Mimo wprowadzania dyrektyw unijnych określających wymagania dla nowych budynków Polska i rządząca nią

© ALAMY/B&B (2)

Coraz duszniej

Średnie stężenie roczne benzo(a)pirenu w 2013 r.
(w nanogramach na metr sześć.)



Źródło: European Environment Agency

do niedawna Platforma Obywatelska nie wdrożyły żadnych programów wspierających nowoczesne budownictwo – ostatecznie wycofano się nawet z obowiązkowej certyfikacji energetycznej nowych obiektów. Rząd PiS także drecze w miejscu, choć od 2023 r. na terenie Unii Europejskiej powinny powstawać już wyłącznie budynki określane dziś mianem pasywnych, a więc zużywające minimalne ilości energii. Jeśli standardowy budynek oparty na technologiach z początku XXI w. w najlepszym razie zużywa ok. 90 kWh rocznie na metr kwadratowy, a najczęściej ok. 120 kWh, to pasywny nie przekroczy zużycia na poziomie 15 kWh. Nowe technologie oznaczają więc ośmiokrotne zmniejszenie ilości zanieczyszczeń powstających przy produkcji ciepła do ogrzania domów.

Mikrogramów na tony

Biorąc pod uwagę, że we wsiach i miasteczkach brakuje sieci ciepłowniczych czy gazowych, jedynym dostępnym tam źródłem ciepła są albo kotły węglowe, albo kotły zużywające ciągle drożący olej opałowy (w ciągu dekady cena wzrosła niemal dwukrotnie). Nic dziwnego zatem, że w Polsce funkcjonuje ponad 3,5 mln kotłów na węgiel, a co roku sprzedawanych jest niemal 300 tys. nowych. Na dodatek wśród 3,5 mln sztuk pieców węglowych aż 3 mln (to znowu szacunki IEŚ z Krakowa, który jako jedyny do tej pory zbadał skalę) to piece zasypowe, technologicznie osadzone w XIX w., do których można wrzucić wszystko. Takie urządzenia, niestety, stanowią także większość wśród kupowanych nowych kotłów.

Dlaczego na takie się decydujemy? Kluczowe znow są pieniądze. Taki piec jest czterokrotnie tańszy od nowoczesnego urządzenia klasy V, ale zamiast 40 mikrogramów pyłów

Najbardziej zanieczyszczone większe miasta w Europie

1. Pernik (Bułgaria)
2. Płowdiw (Bułgaria)
3. Kraków
4. Plewen (Bułgaria)
5. Dobricz (Bułgaria)
6. Nowy Sącz
7. Gliwice
8. Zabrze
9. Sosnowiec
10. Katowice

Dane: EAŚ

na m sześć. – jak ten najnowszy – emituje co najmniej 200 mikrogramów pyłów (chodzi o ilość pyłu mierzoną w kominie). Te wyniki obowiązują tylko wtedy, gdy do pieców trafi dobrej jakości węgiel. A ponieważ do kotła zasypowego można wrzucić każdy opał, nie są rzadkością wyniki 400 czy nawet 600 mikrogramów pyłów.

To właśnie kombinacja takich pieców z najgorszym paliwem doprowadziła do słynnych „pekińskich” wyników zapylenia w Skale pod Krakowem, gdzie w grudniu notowano stężenia pyłów powyżej 1000 mikrogramów w metrze sześć., podczas gdy dopuszczalna unijnym prawem norma dzienna to 50 mikrogramów, a zalecenia WHO (Światowej Organizacji Zdrowia) to 20 mikrogramów. Skala nie jest wyjątkiem. Podobne wyniki trafiały się w Nowym Targu, Żywcu i innych miasteczkach leżących w dolinach. W miastach większych, jak Rybnik lub największa w Polsce Warszawa, nie było lepiej – notowały odpowiednio 800 i 400 mikrogramów pyłu.

Mają tylko miał

Mieszkańcy Skali zapewne w większości nie są świadomi szkód, jakie wyrządzają sobie i otoczeniu, ale do palenia byle czym skłania ich nie głupota, ale oszczędność – brudny węgiel jest tani. W takim podejściu utwierdza ich polityka rządzących, a właściwie jej brak. To dlatego aktywiści z Krakowskiego Alarmu Smogowego od pięciu lat domagają się wdrożenia regulacji, które pozwoliłyby zakazać sprzedaży brudnych paliw i przestarzałych kotłów, walczą też o przepisy, które wykluczyłyby używanie tych już zainstalowanych w domach. To ostatnie częściowo się udało.

Presja społeczna, jaką stworzyli aktywiści KAS, doprowadziła do uchwalenia jesienią 2013 r. pierwszej w Polsce re- ►